



WITOLD MODZELEWSKI

POLSKA – ROSJA

GO DALEJ?

Polska – Rosja Co dalej?

TOM DRUGI

lata 2014–2015

Polska – Rosja Co dalej?

**TOM DRUGI
lata 2014–2015**

Witold Modzelewski

Warszawa 2015



Wydawca:

INSTYTUT STUDIÓW PODATKOWYCH
MODZELEWSKI I WSPÓLNICY Sp. z o.o.
04-367 Warszawa, ul. Kaleńska 8
tel. (22) 517 30 60, 517 30 99, faks (22) 870 41 78
<http://www.isp-modzelewski.pl>
NIP 113-02-34-978
Rachunek bankowy:
PEKAO S.A. X O/Warszawa
65 1240 1095 1111 0000 0336 0556

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
kopiowanie, przedruk i rozpowszechnianie
(w całości lub części)
bez zgody wydawcy zabronione

eISBN 978-83-63591-87-8

Adres redakcji:

INSTYTUT STUDIÓW PODATKOWYCH
MODZELEWSKI I WSPÓLNICY Sp. z o.o.
04-367 Warszawa, ul. Kaleńska 8

Skład:

GRZEGORZ ONUFROWICZ



Spis treści

Wstęp	7
I. Brzemie historii	11
1. Engels miał rację	15
2. Cztery najważniejsze błędy w stosunkach polsko-rosyjskich w XIX i XX wieku	18
3. Co politycy berlińscy rozumieli jako „samostanowienie Polaków”	22
4. Dlaczego w 1920 roku uznaliśmy legalność władzy bolszewickiej.....	24
5. Czy Rosja ubrana była w szaty „sowieckie”, czy to Związek Sowiecki przebierał się za Rosję?	28
6. Niepodległość „prozachodniej” wersji państwowości naszego kraju	32
7. Geopolityczne schematy sanacji, czyli nasze upiory	36
8. Straty Zachodu po upadku bolszewizmu	41
9. Tzw. Zachód zawsze dogadywał się z naszym wschodnim sąsiadem kosztem Polski	45
10. Historyczne upokorzenia	49
11. Czy „komuniści” przyłączyli do Polski przed siedemdziesięcioma laty „rdzennie niemieckie” tereny?	54
12. Pojaltański ład graniczny nie istnieje od dwudziestu czterech lat	58



13.	Nasze „polskie” kompleksy	61
14.	Upadek Piekła	63
15.	Czy reaktywuje się rosyjskie imperium?.....	65
16.	Skład etniczny wojsk I Frontu Ukraińskiego, czyli o wiedzy (potocznej) ministra spraw zagranicznych	68
17.	Historia spreparowana – zapomniane sto dziewięćdziesiąt tysięcy zgwałconych kobiet	72
18.	Historyczne przeinaczenie XX wieku	74
II.	Między rusofobią a rusofilią	77
19.	Dwa światy – emigrantów i pielgrzymów	81
20.	ONI	85
21.	Dlaczego my reprezentujemy „demokratyczny Zachód”, a Rosja jest „reżimem antyzachodnim”	88
22.	„Optymiści” i „realiści” wobec Rosji w polskiej polityce.....	92
23.	Polska tożsamość biedy	95
24.	Czy można walczyć z silniejszym przeciwnikiem bez pogardy i nienawiści?	99
25.	„Najwyższe studium komunizmu” według Adama Michnika.....	101
26.	Błąd, którego nie zauważono	105
27.	Niepodległościowe łapówki	108
28.	Proniemieccy „realiści”	112
29.	Bilans polityki wschodniej	117
30.	Niepodległość pod okupacją	120
31.	(Nie)pożyteczni idioci.....	122



32.	Nadzieja w Opatrzności Bożej.....	126
33.	Jesteśmy (ponoć) po stronie DO- BRA.....	129
34.	Fałszywe imperium.....	132
35.	Scenariusz „naszej” polityki wschod- niej.....	135
36.	Wielka ucieczka kapitałów	138
37.	Prywatne wojny koncernów zbroje- niowych.....	142
III.	Zły czas terazniejszy.....	147
38.	Nie będzie wojny polsko-rosyjskiej	151
39.	Nowa wyprawa na Kijów	156
40.	Szkoda Ukrainy	158
41.	Zaczęliśmy już drugą wojnę (obok ekonomicznej) z Rosją – tym razem na słowa	160
42.	Refleksje na tle wojny (handlowej), którą przegramy	163
43.	Czy w naszym współczesnym rządzeniu, a zwłaszcza w polityce międzynarodowej, interesy ekono- miczne Polski mają jakiegokolwiek znaczenie?.....	167
44.	Terror politycznej poprawności	171
45.	Nie można realizować jednej strategii politycznej.....	173
46.	W świecie naszych (?) obsesji	176
47.	Opowiadka współczesna z wieprzo- winą w tle	180
48.	Dzisiaj bliżej nam do Wiednia i do Ber- lina	183
49.	Cichy powrót Austro-Węgier	186



50.	Żyjemy jeszcze w XX wieku.....	190
51.	Obowiązująca nienawiść	193
IV.	Fenomen Putina	197
52.	Kim dla nas jest prezydent Putin? ..	201
53.	Nasze nadzieje: czy Putin „udławi się Ukrainą”?.....	205
54.	Fenomen prezydenta Władimira Putina	212
55.	Straszenie Putinem.....	217
56.	Strach przed Putinem	221
57.	Pogarda dla „azjatyckiej dziczy”	224
58.	„Rosja jest nieuleczalną chorobą” ...	227
59.	Putin zlekceważony	231
60.	Putin – nasz demon.....	235
61.	Zachodnie wzorce w polskim wydaniu	241
	Ważniejsze książki	243



Wstęp

Od pięciu lat ukazuje się cykl artykułów (*Szkice polsko-rosyjskie*) poruszających w krótkiej formie współczesne i historyczne problemy naszych państw i narodów. W 2014 roku pod tym samym tytułem wydawnictwo Instytutu Studiów Podatkowych opublikowało w formie książkowej pierwszy zbiór tych tekstów. Książka ta, mimo że miała kilka wznowień, nie doczekała się formalnych recenzji, choć była kilkakrotnie komentowana lub oceniana publicznie, w tym w telewizji i w radiu. Za wszystkie głosy, a przede wszystkim za krytykę, zarówno Wydawca, jak i autor najserdeczniej dziękują.

Publikacja ta oraz późniejsze teksty ukazywały się w jednym z najtrudniejszych w najnowszej historii okresów w stosunkach polsko-rosyjskich, które już przeszły do fazy wojny słownej i jawnych przygotowań do jej czynnej („gorącej”) wersji. W prasie przedstawiane są plany rosyjskiego ataku na Polskę i państwa bałtyckie, oficjalny język posługuje się retoryką walki, a politycy narzucają nam pogląd o konieczności poniesienia dużych wydatków w celu intensyfikacji zbrojeń, a zwłaszcza zakupu sprzętu w zagranicznych koncernach. Oczywiście dotychczas żaden dostawca nie został jeszcze wybrany, ale liczą się tu tylko nasi „strategiczni partnerzy” zza Oceanu i być może Francuzi. Na te zamówienia w dużej części wciąż państwowy przemysł naszego kraju raczej nie



ma co liczyć. Rodzą się dość oczywiste podejrzenia, że owa „gorączka wojenna” panująca w Polsce jest kolejnym przykładem akcji medialno-politycznej, dzięki której ktoś chce zarobić na naszym strachu. Potwierdza to zachowanie większości pozostałych państw „wschodniej flanki NATO”, a przede wszystkim naszych południowych sąsiadów, którzy nie żyją w histerii wojennej i chyba ostatecznie nie dadzą zarobić międzynarodowym koncernom. Co prawda nie zasłużą przez to na ich pochwałę i kilka ciepłych słów w opiniotwórczych („światowych”) mediach, a przecież na owych wyrazach sympatii adresowanych do nas szczególnie nam zależy. Tu jednak się zagalopowałem: nam nie zależy, to są potrzeby tych lepszych, którzy sami siebie zwą elitą polityczną.

A tak w ogóle to w stosunkach polsko-rosyjskich dzieje się coś bardzo złego. Konflikt na wschodniej Ukrainie, mimo okresowego uspienia, trwa i nie skończy się, dopóki w Kijowie będą rządzić „prozachodni” politycy. Mało kto chce zrozumieć sens i treść współczesnej polityki, która już nie polega na „konstruktywnym” podbijaniu określonych państw lub terytoriów po to, aby tam ustanowić swoje kolonialne, półkolonialne czy wasalne rządy. Istotą działań wielkich mocarstw jest wyłącznie niszczenie struktur tych państw, które zostały uznane za wrogie, a następnie podtrzymywanie trwających tam wojen wewnętrznych. Po co? O to oczywiście lepiej zapytać się autorów tej polityki, ale sens jest chyba zrozumiały: zniszczona wieloletnią wojną domową państwa nie połączą się z naszymi przeciwnikami, a przy okazji można zrabować to czy owo. Przykłady tego rodzaju działań daje od ponad piętnastu lat Bliski Wschód, Afganistan,



a przedtem Jugosławia. Nic nie zapowiada końca ukraińskiego konfliktu, a politycy uwikłani w bieżące interesy (swoje i nie swoje) tkwią w miejscu.

W obowiązującej w naszym kraju wojenno-rusofobicznej narracji tezy zarówno poprzedniej, jak i niniejszej książki były i będą uznane za niepopularne, a przede wszystkim niezgodne z poprawnością elit. Zdaniem autora obecna postawa wobec Rosji jest dla nas szkodliwa i może prowadzić nas do mniejszych lub większych klęsk, choć nie w sensie militarnym, bo wojna nam nie grozi. Jest to czytelne dla wszystkich „antysystemowców”, którzy szli do wyborów prezydenckich w maju 2015 roku. Ale nie tylko dla nich. Musimy zejść z drogi prowadzącej nas do pogłębienia konfliktu gospodarczego i politycznego, bo wcale nie jest on „nieuchronny”, a tym bardziej „konieczny.”

Może jakąś minimalną rolę (bez przeceniania swoich słów) odegra ta książka. Jest ona zbiorem artykułów, które ukazały się w ciągu ostatniego roku. Trzeba mówić i przekonywać, aby słowem wstrzymać przybliżające się do nas zło. Czasami się to udaje.

Warszawa, maj 2015 rok



BRZEMIĘ HISTORII



„Zarzewie polskiej irredenty, wybuchające nieraz z pełną mocą, było ustawicznym zagrożeniem dla Cesarstwa Rosyjskiego, które musiało angażować duże siły militarne i finansowe, aby zachować panowanie nad swoimi zdobyczami. W Petersburgu uświadamiano sobie, że sprawa polska może być źródłem bezpośredniego zagrożenia nawet dla osobistego bezpieczeństwa carów. Przypomnijmy tylko pierwsze słowa syna Mikołaja, Aleksandra II, skierowane do terrorysty, który w 1866 roku próbował go zabić: «Ty Polak?». Gdy okazał się Rosjaninem, zdumiony car wypytywał o motywy, które go popchnęły do próby carobójstwa. Carski niepokój nie był bezpodstawny – piętnaście lat później jako członek «Narodnej Woli», Polak, Ignacy Hryniewiecki, rzucił bombę, która pozbawiła życia cesarza – króla polskiego».

*L. Adamski, S. Dębski (red.), Myślą i słowem.
Polsko-rosyjski dyskurs ideowy XIX wieku,
Warszawa 2014*



1. Engels miał rację

Żyjemy pod presją zdarzeń, a przede wszystkim „faktów medialnych”, które narzucają nam agresywną rusofobię. A ona również kształtuje tzw. fakty niemiedialne, czyli realną rzeczywistość. Rwą się nasze powiązania ekonomiczne z Rosją: tracimy rynki zbytu oraz rosyjski popyt na obszarach przygranicznych. Jedynym dostrzegalnym skutkiem „sankcji” nałożonych na Rosję jest deprecjacja rubla, za którą zapłacą – jak zawsze – nasi przedsiębiorcy, bo o rosyjskich turystach na Mazurach czy w Zakopanem możemy już zapomnieć (na zawsze?). Kogo obchodzi w rozpolitykowanej „Warszawce” jakiś tam polski przedsiębiorca mający sad jabłkowy albo pensjonat w Tatrach? Oni mają siedzieć cicho i płacić za naszą pseudomocarstwową politykę wschodnią, a przede wszystkim dziwną miłość do nacjonalistów ukraińskich i części kijowskich oligarchów, których nazywamy „prozachodnimi”. Wspieranie antyrosyjskich polityków, gdziekolwiek pojawiliby się, należy do naszych historycznych obowiązków od co najmniej dwudziestu lat, podobnie zresztą jak ponoszenie kosztów tej polityki: jest to zupełnie logiczne, bo przecież „każdy musi godzić się ze skutkami tego, co robi”.

Od dawna tę naszą nieszczęsną rolę narzucali nam politycy zachodni (głównie niemieccy), oni też nazywają swoją ekspozyturę w Polsce „ruchami nie-



podległościowymi”. Było to i jest czytelne dla każdego mówiącego i myślącego po niemiecku publicysty, nawet dla niemieckich socjalistów. Przypomnę znany i wielokrotnie cytowany list Fryderyka Engelsa do Karola Marksa z 23 maja 1851 roku: „Wniosek: odebrać Polsce na zachodzie wszystko, co się da, obsadzić ich twierdzą – zwłaszcza Poznań – Niemcami pod pozorem ochrony, POZWOLIĆ IM GOSPODAROWAĆ, POSYLAĆ W OGIENI, OGRABIĆ DO CNA Z ŻYWNOŚCI ICH KRAJ, ZBYWAĆ ICH WIDOKAMI NA RYGE I ODESSE [podkreślenie W.M.], a gdyby udało się wprawić w ruch Rosjan – sprzymierzyć się z nimi i zmusić Polaków do ustępstw”¹. Nic dodać, nic ująć: był to jednak tęgi umysł, bo poglądy te są wciąż aktualne nie tylko w Berlinie, lecz również w proniemieckiej Warszawie. Ciągłe zbywa się nas „widokami” na Wschód – teraz na Odessę. Mamy tam realizować nasze wielkomocarstwowe urojenia o sojuszu – oczywiście pod naszym przewodnictwem: ukraińsko-litewsko-łotewsko-estońsko-polskim, czyli coś na miarę Jagiellonów. Tyle tylko, że nikt w tych krajach nie ma w głowie romansów z jednym z najbiedniejszych państw Unii Europejskiej, kompromitującym się co rusz wyczynami naszej klasy politycznej. Ale nawet gdyby rządili nami nieskazitelni mężowie (żony?) stanu, o wielkim autorytecie i sile umysłu, to i tak musieliby znaleźć się w roli, którą ma do odegrania niepodległa, czyli proniemiecka wersja naszej państwowości. A jej językiem jest pogarda dla Rosji, utrzymywanie nas w ciągłym konflikcie tylko po to, aby na naszych zachodnich rubieżach działał się

¹ K. Marks, F. Engels, *Dziela*, t. 27, Warszawa 1968, s. 309–313.



to samo, co w XIX wieku. Przy czym nie trzeba już obsadzać Niemcami „naszych twierdz”, bo przecież takowych nie mamy i nie są nikomu potrzebne. Dziś przez te słowa należy rozumieć przemysł, tyle że w granicach Rzeszy z 1937 roku, będących dziś częścią Polski, przemysłu już nie ma (to załatwił Balcerowicz – wieloletni „nasz” kandydat do Nagrody Nobla, ciekawe z jakiej dziedziny – literatury?), a jeżeli jest, to już niemiecki. Jeden z wielkich niemieckich koncernów ma wybudować tu fabrykę, więc usłudźni politycy z Warszawy oferują mu przywileje podatkowe, za które on „stworzy nowe miejsca pracy”. Nie będę pytać, czy tego rodzaju przywileje zaoferowano by jakimkolwiek rosyjskim inwestorom, bo wiadomo, że nie.

Mam pytanie do naszego liberalno-ludowego rządu: czy polski inwestor, który chciałby wybudować podobną fabrykę na tzw. Ziemiach Odzyskanych miałby szanse choć na część tego rodzaju zwolnień i ulg podatkowych? Wiem, zadaję głupie, niestosowne pytania, na które w dodatku znam odpowiedź.



der I, bo on prowadził wtedy sprzyjającą nam politykę restytucyjną dla naszej państwowości. Wtedy mogliśmy wytargować wiele, znacznie więcej niż dawał nam Cesarz Francuzów, a później „mocarstwa zachodnie”, czyli Albion i burbońska Francja podczas Kongresu Wiedeńskiego. Nie stracilibyśmy wojska, a na tymże kongresie bylibyśmy obecni jako członkowie zwycięskiej koalicji. Uratowany od tyle bohaterskiej, co politycznie bezsensownej śmierci książę Józef umiałby wykorzystać swoje związki z dworem wiedeńskim, aby zyskać przychylność drugiego – obok Rosji – mocarstwa dla sprawy restytucji państwa polskiego w wersji niezbyt okrojonej. Wzmocniłoby to również pozycję Aleksandra I, który jak król Królestwa Polskiego byłby w XIX wieku dużo silniejszym monarchą konstytucyjnym.

Drugi raz popełniliśmy błąd w 1831 roku, bo nie podjęliśmy prób kompromisu z Mikołajem I, mimo wielu sygnałów, które otrzymaliśmy z rosyjskiej strony. Wiemy dziś aż nadto dobrze, że konieczność zdobywania trzeciej stolicy (tak – Warszawa była wtedy trzecią stolicą tej dynastii, a była również czwarta – Helsinki) była dla niego polityczną klęską, zwłaszcza po powstaniu dekabrystów, czyli „najwierniejszych sług tronu”. Mikołaj i jego najbliżsi współpracownicy nie chcieli wojny ze zbuntowanymi Polakami, co zresztą dobrze wiedzieli nasi politycy Rządu Narodowego, a zwłaszcza Adam Czartoryski. Mogliśmy dużo zyskać, a nasz „kompromis z Rosją”, czyli z monarchicznym ładem ówczesnej Europy, nie rzuciłby nas na kolana. Wiemy o tym dzięki najnowszym pracom historycznym (Lecha Mażewskiego), ale także dzięki pracom historyków dziewiętnasto-



wiecznych. Mieliśmy wtedy w Petersburgu nie tylko księcia Franciszka Druckiego-Lubeckiego, lecz również sekretarza stanu Ignacego Sobolewskiego, a byli to politycy z wysokiej półki. Nie podjęliśmy zaproponowanej nam przez Mikołaja próby „wyjścia z twarzą” z zaistniałej sytuacji: dlatego musiał nas pokonać, co było i dla niego, i dla nas najgorszym wariantem.

Trzecią szansę mieliśmy w 1917 roku w okresie po dość pochopnej abdykacji Mikołaja II, a przed zwycięstwem bolszewików. Wtedy Rosja była jeszcze członkiem Ententy i Zachód zrobiłby wiele, aby tak zostało. Jeśli słaby Rząd Tymczasowy Rosji osiągnąłby jakiś duży sukces, jego pozycja wzmocniłaby się, co mogło postawić tamę przed niemieckim planem zniszczenia Rosji, czyli zwycięstwem bolszewików. Jeśli między lutym a listopadem 1917 roku ktoś z polskiej strony zaproponowałby uznanie przez ów rosyjski rząd pełnej restytucji państwa polskiego kosztem nie tylko państw centralnych, lecz również istotnej części ziem, a może nawet całego pierwszego zaboru rosyjskiego, nasz wschodni sąsiad zgodziłby się, bo powstałaby przeciwwaga dla buntujących się już Litwinów i Ukraińców, działających pod dyktando Berlina i Wiednia. Ale my także byliśmy pod zaborami monarchii niemieckich, a zabrakło wtedy polityków niezależnych od tych stolic.

Czwarty i ostatni raz mieliśmy tę szansę w 1945 roku, gdy powstawał Rząd Jedności Narodowej, zwany dziś przez rusofobów „sowieckimi namiestnikami w Polsce”, mimo że weszli do niego politycy z emigracyjnego Londynu, a przede wszystkim Stanisław Mikołajczyk, działający zresztą z nakazu „mocarstw zachodnich”. Wiemy, że wtedy Stalinowi za-



leżało na znacznie silniejszej reprezentacji politycznej naszego kraju, z większym udziałem polityków londyńskich, a nawet oferowano nam cały okręg lwowski za ich udział w tworzeniu władzy na wyzwolonym terytorium Polski. Większość londyńczyków nie chciała skorzystać z tej okazji, mimo że byli do tego wręcz zmuszani przez Anglosasów, a oni później całkowicie cofnęli również swoje poparcie dla rządu emigracyjnego.

Ciekawe, czy rok 2015 nie wejdzie także do złego panteonu zaprzepaszczonych szans? Przecież przegrywamy dziś piątą już batalię, w której stawką jest brak wrogości ze strony Rosji.



3. Co politycy berlińscy rozumieli jako „samostanowienie Polaków”

Negocjacje prowadzone w Brześciu w 1918 roku między bolszewikami a przedstawicielami państw centralnych zapamiętano również dzięki wielu groteskowym wydarzeniom. Kajzerowskim dyplomatom bardzo zależało na zawarciu tego pokoju, musieli więc wysłuchiwać rewolucyjnych tyrad drugiej strony, a że państwa monarchiczne reprezentują z reguły dość tępi konserwatyści, ich upokorzenie nie znało granic. Znosili je z kamiennymi minami: wiedzieli, że dzwiczni ludzie po drugiej stronie, którymi w duchu głęboko pogardzali, muszą się kiedyś ugiąć.

Podczas tych obrad było wiele polskich, aktualnych do dziś akcentów. W końcu w „centralnym” miejscu siedzieli przedstawiciele dwóch niemieckojęzycznych cesarzy, którzy przed prawie dwoma laty utworzyli Radę Regencyjną tworu polskopodobnego. Jak zawsze więc czuli się znawcami problematyki polskiej. W czasie rokowań przedstawiciele bolszewików zażądali od obu cesarstw niemieckich uznania prawa do samostanowienia Polaków, którzy wówczas w całości znajdowali się pod okupacją niemiecką. Najważniejsza była riposta sekretarza stanu Richarda von Kühlmanna, szefa kajzerowskiej delegacji, który stwierdził, że Polacy już z tego prawa skorzystali, bo... oderwali się od Rosji.



Jak to brzmi współcześnie: dziś też przekonuje się nas, że „odzyskaliśmy niepodległość”, gdy wyrwali się z objęć Związku Radzieckiego, a nasz stan zależności od innego państwa czy związków państw (np. Unii Europejskiej) nie ma tu jakiegokolwiek znaczenia. Tak do dziś definiuje się w wielu zachodnich stolicach, a zwłaszcza w Berlinie, nasz wybór: albo pozostaniemy pod „sowieckim butem”, albo dokonamy aktu „samostanowienia” i przyjmujemy protektorat niemiecki. A politycy, którzy to uczynili, wejdą do panteonu bohaterów walki o niepodległość.

Być może w duchu naprawdę chcieli nas uwolnić również od niemieckiej zależności, a przejście pod ich protektorat było tylko oszukańczym manewrem. Jak bolszewicy w latach 1917–1918. Może. Tyle tylko, że chyba się to nigdy nie udało, bo aby pozbyć się zależności od zachodniego sąsiada, trzeba go najpierw rozczłonkować na mniejsze, historyczne państwa.



4. Dlaczego w 1920 roku uznaliśmy legalność władzy bolszewickiej

Na ten szczegół nie zwracamy uwagi: zawierając pokój w Rydze, uznaliśmy podmiotowość międzynarodową bolszewickich uzurpatorów i – co ważniejsze – że ludzie działający w imieniu drugiej strony reprezentują jakieś państwo, które powstało w miejscu Rosji (?). Nie będę tu zagłębiał się w skądinąd ważne niuanse prawa międzynarodowego, ale warto przypomnieć, że:

- władze, które powstały w Piotrogradzie (1917), a potem przeniosły się do Moskwy (1918) po bolszewickim przewrocie, m.in. Rada Komisarzy Ludowych, nie uznały się za sukcesorów prawnych państwa rosyjskiego istniejącego po abdykacji Mikołaja II, a następnie jego brata Michała (istniała w dalszym ciągu monarchia bez monarchy?);
- w zasadzie prawie wszystkie państwa, z wyjątkiem kajzerowskich Niemiec i częściowo Autro-Węgier, nie uznawały tych władz tzw. Rosyjskiej Republiki Rad, dla nich nadal istniało dotychczasowe państwo rosyjskie: przecież to na jego paszporcie Roman Dmowski pojechał do Paryża i działał tam jako polski polityk w 1918 roku;
- w wielu krajach funkcjonowały przedstawicielstwa dyplomatyczne Rosji, a zarówno na jej



terytorium, jak i za granicą istniały czynne ośrodki władzy oraz siły zbrojne tego państwa („białogwardziści”).

Co najistotniejsze, bolszewizm oraz jego twory prawnopaństwowe były największym w historii wrogiem państwa rosyjskiego, zresztą również wszystkiego, co rosyjskie. Zlikwidował on pod dyktando Niemiec armię rosyjską, zniszczył całość struktur państwa rosyjskiego, dokonał na nieznaną w historii skalę aktu ludobójstwa na całych grupach społecznych tego kraju („zniszczenie klas posiadających”) oraz ograbił z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, resztę społeczeństwa. Co najważniejsze, w odróżnieniu od dzisiejszych historyków i publicystów, nikt ówczasnie nie utożsamiał bolszewizmu i państwa bolszewickiego z Rosją: tę ostatnią reprezentowała m.in. „biała” emigracja, działająca na wygnaniu legalnie wybrana rosyjska Konstytuanta, która zebrała się przeciw za granicą, oraz oczywiście... generał Anton Denikin. Byli to nieprzejednani wrogowie władz bolszewickich, zresztą również wszystkiego, co przyszło do Rosji wraz z Leninem, Trockim i Dzierżyńskim.

Polskie władze po wygranej kampanii w 1920 roku siadają jednak do stołu rokowań – a jakże – z bolszewikami i spotykają po drugiej stronie wielu znajomych, w tym bardzo niewielu etnicznych Rosjan, za to sporo Polaków, w tym Jakuba Haneckiego, „wybitnego polskiego rewolucjonistę”. Czy ów pokój zawarto z „Rosją”? Ja jeszcze dobrze pamiętam słowa i myśli zarówno pokolenia, które żyło w 1920 roku i czasach pokoju ryskiego, jak i tych, którzy byli następnym pokoleniem: to nie była w żadnym wypadku „wojna z Rosją”, a pokój zawarto z jej największym



wrogiem, co zresztą traktowano w rodzinach o powstańczo-styczniowej tradycji za istotę naszego sukcesu. Dlaczego? Bo Rosja była zaborcą, wrogiem, z którymi mieliśmy długie rachunki krzywd, a na mogiłach z 1863 i 1864 roku świece pały żyjące jeszcze córki, a niekiedy żony (tak – żona powstańca styczniowego, będącego moim prapradziadem, dożyła lat trzydziestych XX wieku). Wróg tego wroga, czyli bolszewizm, był naszym sprzymierzeńcem, mimo że akurat wtedy przyszło nam z nim walczyć, zresztą raczej przypadkowo, bo oni nie szli „na Warszawę”, tylko znacznie dalej – „do Europy”. Warto przypomnieć, że w 1920 roku na ochotnika zgłaszali się do Wojska Polskiego oficerowie byłej armii carskiej. Chciano również utworzyć regularne oddziały armii rosyjskiej walczące po naszej stronie. I co? Jest to jedna z najślabiej zbadanych spraw, ale wiem tyle, że stosunek władz polskich do tych inicjatyw był – oględnie mówiąc – bardzo niechętny. Prowadzono również tajne negocjacje z bolszewikami jeszcze przed rozpoczęciem tzw. mińskiej fazy negocjacji pokojowych. I tu stanowisko władz polskich i bolszewickich było zbieżne: nie chcemy zachować niczego, co jest rosyjskie, bo Rosja jest „naszym wspólnym wrogiem”.

Dziś jest już wszystko pomieszane. W oficjalnej narracji dotyczącej roku 1920 „walczyliśmy z Rosją”, a teraz następuje „odtworzenie ZSRR”, mimo że ponoć upadł w 1991 roku. Tak, jesteśmy ogłupiani. Ale czy to wynika tylko z niechlujstwa myślowego „inteligentów” wykształconych w III RP? Sądzę, że nie tylko.





leon Bonaparte dzielili ówczesny świat. Może i duża część Rosjan chciała, tak jak my, Polacy, w latach 1944–1989, aby przeniknąć do struktur wrogiego ustroju i przywrócić przeszłość, by nadać komunistycznemu państwu bardziej narodowy charakter. W jakiejś części był to proces udany, bo pod koniec historii Związku Sowieckiego udział mniejszości narodowych i cudzoziemców w strukturach władzy, początkowo wręcz dominujący, zmniejszył się w istotny sposób, a kolejne pokolenia „ludzi radzieckich” skrycie, a nawet jawnie, oczekiwały powrotu przynajmniej części rosyjskiej przeszłości. Był to jednak proces polowiczny, który nie pozwolił na łagodne przekształcenie się Związku Sowieckiego w Rosję: najpierw trzeba było podjąć decyzję o ostatecznym i formalnym zlikwidowaniu „ojczyzny światowego proletariatu”.

Pamiętamy, że bolszewicy chcieli wyniszczyć lub maksymalnie osłabić pozycję Rosjan w swoim państwie. Temu też służyła ustrojowa struktura dwustopniowego federalizmu, w którym żywioł rosyjski miał zostać „rozwodniony” w innych nierosyjskich tworach quasi-państwowych. M.in. dlatego stworzono Wielką Ukrainę. Chichotem historii jest to, że właśnie ów system wewnętrznych granic, będących tworem imperializmu bolszewickiego, okazał się największą spuścizną ich państwa i przeżył je o ćwierć wieku. Teraz podlega rewizji, tak jak „zjednoczenie Niemiec” miało zakończyć czas powojenny. Sądzę, że nie musi nastąpić formalne przyłączenie do Rosji wszystkich postradzieckich tworów państwowych położonych na ziemiach byłego ZSRR: nie ma tu czegoś takiego, co można nazwać „nieuchronnością”.



Zjednoczenie nastąpi prawdopodobnie być w stylu bismarckowskim, czyli jako związek formalnie niezależnych państw pod egidą Moskwy.



6. Niepodległość „prozachodniej” wersji państwowości naszego kraju

Niedawno przypomniano wypowiedź profesora Andrzeja Wieczorkiewicza na temat sprawy polskiej na konferencji jałtańskiej. Teza profesora była mniej więcej taka: Churchillowi nie udało się uratować nawet „szczętkowej niepodległości naszego kraju”, bo zgodził się na utworzenie Rządu Jedności Narodowej z udziałem części polityków londyńskich, m. in. Stanisława Mikołajczyka, a jednocześnie wycofał uznanie dla rządu emigracyjnego. Dzięki tej wypowiedzi pojąłem (lepiej późno niż wcale), co być może rozumiał ów wybitny historyk przez pojęcie „niepodległość naszego kraju”. Gdy powstał w Polsce rząd uzależniony od naszego wschodniego sąsiada, to stan ów nie miał nic wspólnego z „niepodległościami”. Gdyby jego skład był w całości lub w istotnej części ukształtowany przez Churchilla, owa „niepodległość” byłaby „uratowana”. Dla brytyjskiego premiera Jałta była przegraną partią o polityczne wpływy, w tym we wschodniej Europie, a jego próba obsadzenia w wyzwolonej Warszawie polskich polityków przywiezionych z Londynu była bezspornie podyktowana tylko obroną brytyjskich interesów. Nigdy tego nie ukrywał; nie raz powtarzał znaną maksymę, że „Rząd Jego Królewskiej Mości nie ma przyjaciół, lecz swoje interesy”. Czyli o „niepodległości” Polski mówimy, gdy rządzą tu ludzie chroniący interesy brytyjskie



albo szerzej – interesy innego państwa położonego od nas na zachód. Gdyby było odwrotnie – Polska pogroziłaby się w mroku „zaborów” lub „sowieckiej okupacji”, trwającej, zdaniem współczesnych antykomunistów, do 1989 roku.

Co jest jednak bezspornie naszym fenomenem? Gdy dochodzi do rzadkich w polskiej najnowszej historii demokratycznych procedur wyborczych, bardzo często większość opowiada się za legalnym oddaniem władzy „politykom prozachodnim”, czyli nierzadko chroniącym w naszym kraju cudze interesy lub wręcz przez obcych wyznaczonym. Czy było (i jest) to skutkiem nieudolności rządów zależnych od Rosji lub Związku Radzieckiego? Zapewne tak, bo socjalistyczna gospodarka nierobów była faktem, kolejki i mizéria życia codziennego wzbudzały powszechną niechęć do niedemokratycznych rządów Polski Ludowej. Brak wolnych wyborów, cenzura i ograniczenia dla prywatnej działalności gospodarczej też miały swoją wagę, ale gdyby sklepy były lepiej zaopatrzone, a perspektywa uzyskania mieszkania (brak pracy nikomu nie groził) byłaby nie dłuższa niż dziesięć lat, cicha dezaprobata dla ówczesnej rzeczywistości nie miałaby istotnego znaczenia. Stało się inaczej, bo rządzący Polską Ludową byli w większości nieudolnymi politykami i nie obronili ówczesnego status quo. Zresztą czy kiedykolwiek byli „ideowymi komunistami”? Długo żyłem w tamtych czasach i znałem wielu ludzi szczerze akceptujących realia Polski Ludowej, ale „komunistów” nigdy nie spotkałem, nawet wśród członków PZPR. My nigdy nie byliśmy i nie będziemy „ideowcami” – to nie leży w naszej naturze. Nie toczyliśmy sporów ideologicznych,



nie tworzymy abstrakcyjnych doktryn, nie wierzymy w ich sens. Dotyczy to także filozofii, bo w całej naszej tysiącletniej historii nie stworzyliśmy własnej szkoły filozoficznej, czy też oryginalnej doktryny politycznej, może z wyjątkiem zapomnianych już myśli Jerzego Adama Czartoryskiego. Polaków należy postrzegać jako praktyków wierzących w racjonalny kompromis, sens szybkiej, nawet nietrwalej korzyści oraz ludzi ceniących sobie bezpieczeństwo. Pojęcie „małej stabilizacji” najlepiej tłumaczy nasze cele i potrzeby. Dajemy się przez to ogłupić każdemu, gdy uwierzymy, że wie od nas lepiej. Tak jest również dziś, gdy wręcz nakazujemy przyjmować obce wzorce, kształcić się za granicą, a nawet polskich naukowców formalnie oceniamy przez liczbę publikacji w zagranicznych (a nie polskich, bo te są z natury gorsze) czasopismach. Dlatego tak łatwo nami manipulować, wmówić nam, że cudze interesy są naszymi, a ludzie działający w obcym interesie są twórcami naszej „niepodległości”. Po ćwierćwieczu historii naszego kraju mówimy wprost, że nasze niepodległe państwo „istnieje tylko teoretycznie”, działa w interesie kilku zagranicznych banków, ma gdzieś obywateli i ich problemy, chroni wyłącznie „zagranicznych inwestorów”. Nikomu również nie przeszkadza, że handel, instytucje finansowe, resztki przemysłu działają w swoim, a nie polskim interesie. Nie przeszkadza rządzącym, że brak perspektyw życiowych jest przyczyną masowej emigracji i spadku dzietności kolejnych pokoleń.

Bo fałsz tkwi w podstawowych pojęciach i naszych mitach założycielskich: Churchillowscy nominaci do Rządu Jedności Narodowej byli często tak samo odlegli od naszych interesów, jak ich promo-



skiewscy adwersarze w tym rządzie. Nazywanie „niepodległością” zależności od obcych, oczywiście nie sowieckich interesów, jest dla nas zabójcze, bo ogłupia nas i tworzy atrapy polskiej państwowości.



7. Geopolityczne schematy sanacji, czyli nasze upiory

Wciąż, mimo upływu tylu dziesięcioleci, myślimy w geopolityce schematami pogrzebanej raz na zawsze przedwojennej „sanacji”. Z dzisiejszej perspektywy widać, że był to krótki, trwający raptem trzynaście lat epizod, zakończony bezprzykładną klęską polityczną, militarną i – co najważniejsze – narodową: nigdy w historii nie ponieśliśmy w wyniku wojny tak wysokich strat ludnościowych. Sanacja już w październiku 1939 roku była politycznym bankrutem, skompromitowanym, lecz zacierzewionym w swojej głupocie, niemającym jakichkolwiek szans powrotu do władzy. Tak ich widziało i oceniało po wojnie pokolenie narodzone w pierwszym dwudziestoleciu zeszłego wieku, a także obecnie odważni historycy i publicyści, wśród których palmę pierwszeństwa należy dać Rafałowi Ziemkiewiczowi – przynajmniej w warstwie diagnozy.

Okazuje się jednak, że schematy politycznego myślenia „sanacji”, które doprowadziły ją do klęski, żyją do dziś i rządzą naszą świadomością polityczną. Które z nich mam zwłaszcza na myśli? Pierwszy z nich nakazuje, że mamy w pełni afirmować istnienie „wielkich Niemiec”, które przez to, że są od nas silniejsze, trzeba uważać za głównego patrona. Drugi, dotyczący Rosji, zakłada, że tam czyha na nas „największe zagrożenie” i w związku z tym obowiązani



jesteśmy do nieprzejednanej wrogości, a każde odstępstwo jest ZDRADĄ. Jest to teza, która współcześnie już dawno przekroczyła granice schizofrenii politycznej, bo „sanacja” miała przeciwko sobie bolszewickie państwo, zrodzone przez ograbienie i zniszczenie Rosji, a dzisiejsza Rosja nie ma już wiele wspólnego z antyrosyjskim, leninowskim komunizmem. Wrogość „sanacji” wobec bolszewizmu była w pełni zasadna, bo i tu, i tam rządili ludzie, którym wydawało się, że przechytrzyli swojego wspólnego mocodawcę i protektora – czyli kajzerowskie Niemcy, nie wierzyli oni jednak w trwałość swojego sukcesu. Wrogość bolszewizmu wobec „sanacji” również nie budziła jakichkolwiek wątpliwości, zresztą wszyscy zbrodniczy uzurpatorzy nienawidzili i będą nienawidzić otaczającego ich świata, który był i będzie dla nich stałym zagrożeniem.

Dziś Rosja nie wybiera się na ideologiczny podbój tzw. Zachodu w imię „komunistycznej utopii” (jak mimo wszystko łagodnie to brzmi) i ów „Zachód” podporządkowuje sobie ekonomicznie i politycznie.

Trzecim schematem jest nakaz prowadzenia polityki „prometejskiej” w stosunku do Rosji, gdzie „musimy” wspierać jakieś „ruchy niepodległościowe” w samej Rosji (np. czeczeńskich Talibów) oraz opowiadać się za każdym, nawet najgłupszym antyrosyjskim watażką z jej bezpośredniego sąsiedztwa.

Wszystkie powyższe schematy stanowiły credo sanacyjnej polityki, którą wymyślili konserwatywni myśliciele kajzerowskiego Berlina w czasie, gdy był on antyrosyjski. Wredną rolę wykonawcy tej polityki powierzono „ruchom niepodległościowym” w Polsce, na Ukrainie, na Łotwie i na Litwie oraz... bolszewi-



kom. Warto przypomnieć, że w podobny sposób miało być rozbite od środka Zjednoczone Królestwo Jerzego V, a misję detronizatora powierzono wówczas „niepodległościowym” ruchom irlandzkim, z tragicznymi skutkami dla tego narodu, bo londyńscy politycy po prostu zamordowali „niepodległościowych działaczy” z sąsiedniej wyspy, a przy okazji krwawo spacyfikowali irlandzkie powstanie. Tak więc nasz były premier był swoistym prorokiem, bo zauważył, że możemy być „drugą Irlandią”; z jedną poprawką – już byliśmy.

Naszym nieszczęściem jest to, że dzisiejszy czas chcemy zrozumieć za pomocą sanacyjnych schematów, oszukując się jednocześnie, że zależność od „wielkich Niemiec” równoważymy (jakoby) naszym „strategicznym sojuszem z USA”, a NATO obroni nas przed wymyślanym zagrożeniem ze strony Rosji, która gdzieś mocno ukrywa swoje plany „rekomunikacji” naszego kraju. Czy jest jeszcze świat ludzi w pełni normalnych?

Gdybyśmy tylko przykładali tę samą miarę do obu naszych sąsiadów i chronili polską diasporę zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, a zwłaszcza za Odrą i Nysą, dając np. Kartę Polaka wynaradawiającym się obecnie polskim emigrantom w Niemczech, nasza polityka wobec tego państwa nie byłaby aż tak nieskuteczna. Mając w tamtym kraju kilka milionów Polaków, którym należy się opieka i wsparcie ze strony macierzy, bylibyśmy stroną, a nie wasalem.

Jeśli zamiast wiernopoddanych adresów wobec Berlina, emanującego już dziś wielkoniemiecką ideologią, dostrzeżlibyśmy partnerów w stolicach zachodnich landów, a zwłaszcza w katolickim Monachium,



wyrwalibyśmy się choć trochę z sanacyjnych uproszczeń.

Czas pozbyć się tego pseudodziedzictwa. Niech spocznie raz na zawsze w głębokim grobie historii sanacyjny garb świadomości politycznej.

